№ 16.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 10. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Średniowieczny podział ludzi najpospolitszy był na stany, a potém na bractwa, jednakże przez wszystkie podziały szedł jeden podział główny, to jest na pana i sługę. Król był naczelnikiem państwa, a wyżsi urzędnicy byli jego domowemi sługami. Wyżsi urzędnicy mieli sług ze szlachty, szlachta z chłopów. W mieście urzędnicy magistratu byli i nazywali się panami, a drudzy mieszczanie ich sługami. Mistrz warsztatu lub naczelnik handlu swego czeladnika i pomocnika nazywał sługą, a nakoniec w najniższéj warstwie społecznéj ubogi chłop na szczupłéj roli, posługujący całemu światu, był jeszcze panem swego parobka. Że to prawie każdy będąc panem, był zarazem sługą, przeto służba nie poniżała nikogo, ani też pan nie wynosił się tak bardzo nad sługę: jadał z nim u jednego stołu. Oddawanie atoli drugiemu szacunku szło przez stawianie się względem niego w tém stanowisku, jakie zajmuje sługa względem pana. Nim jeszcze całe życie średniowieczne doszło do rozwinięcia w pełni swego kwiatu, nie służbistość, ale braterstwo było stosunkiem, na którym się stawiał człowiek do człowieka: nie mówił nikt wtedy drugiemu panie albo we wyższych stopniach szlachetny, wielmożny, jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony, najjaśniejszy panie, lecz wszyscy rozmawiali z sobą przez *ty*; kiedy zaś chcieli kogo uczcić jako ojca familii lub naczelnika stowarzyszenia jakiego, że to niby nietylko sobą, ale i drugimi rządził, wtedy go brali za osobę zbiorową, i przez *wy* z nim mówili. Tak było we wszystkich krajach europejskich, tak i w Polsce. Kiedy już się służebność rozwinęła do tytułowania panem, wacpanem, jeszcze nie od razu wyrobiono ową różnicę szlachetnych, wielmożnych, jaśnie wielmożnych panów, ale ze starego braterstwa popłacał wyraz miłości, a stąd i król do każdego szlachcica i szlachcic do króla mówił tylko miłościwy panie. Niżsi nazywali się prawie równie pięknie, bo waszą czcią czyli waszecią. Ze służby i uległości służbowéj wyrodziła się niewola i pełzgliwość niewolnicza: niedosyć zatém zdawało się ludziom, że drugiego jakimś wyniesionym nad innych nazywali panem, że się pisali jego sługą, unižonym sługą, najniższym sługą, ale wprowadzili w mowę obrzydłe i szkaradne formy mówienia: do nóg upadam, całuję stopy, pod stopy się ścielę. Te wszystkie w naszym polskim języku wyrażenia i formy grzeczności nikczemnością nacechowane są stare, ale nie są starożytne: sto i dwieście lat liczyć mogą, lecz trzystu niesięgają. Powstały one w czasie destrukcyjnym epoki rycerskiéj czyli szlacheckiéj; nie świeżość, ale spróchniałość, nie poświęcenie, ale prywatę, jako spółczesne zjawienia obok siebie wykazywać mogą. Późniéj do oznaczenia każdemu przez grzeczność bardziéj pańskiego stanowiska, chciano dodać jakiegoś blasku przez czyny osobiste, przez dobre działanie, i stąd wyszedł wyraz przyczepkowy dobrodziej, i tak się tedy rozwinęła cała potworna forma; któréj jeszcze dziś używamy w listach wielmożny mości dobrodzieju. Lud nasz, który nie żył politycznie, na którym wpływy rozmaitych czasów mniéj kładły piętna, pozostał w tych stosunkach i obyczajach, które przed XVI. wiekiem cechowały wszystkie stany polskie. Względem wyższych

musiał się wprawdzie i on nauczyć nowéj, pochlebnéj, kłamliwéj, za zyskiem przez chwytanie w układne słowa biegającéj grzeczności, i dla tego wyższym od siebie klassom społecznym nadaje i śmieszne tytuły, lecz między sobą do członka familii przez *ty*, a do jéj naczelnika lub naczelniczki przez *wy* przemawia. U niego tak jak w początkowém całéj Europy chrześciaństwie, jeszcze trzymanie do chrztu dziecka, czyli tak zwane komoterstwo, tworzy familią duszną, stąd nawet i nieżonaci ludzie, którzy się stali rodzicami chrzestnemi, już nie przez *ty*, lecz przez *wy* do siebie mówić muszą. Lud przy tytułowaniu swego państwa dochowuje jeszcze najpiękniejszéj nazwy jegomości i jéjmości, które są skróceniem jego miłościwości i jéj miłościwości. Powitanie się ludu polskiego ma najwięcéj szlachetności ze wszystkich powitań w językach europejskich: przychodzący bowiem oświadcza przez pochwalenie Chrystusa, że się trzyma zasad chrześciańskich, drugi przez wyraz na wieki ze swojéj strony to samo daje zrozumieć; pierwszy dopiero pyta się jak się macie, a drugi, zostawiając ten swój osobisty interes bez odpowiedzi, cieszy się gościowi formułą: witajcież do nas. Formuła przy pracy szczęść Boże i odpowiedź na nią Bóg zapłać, ma i grzeczność, ma i wzniosłość. Najśmieszniejszém jest to, że stany wyższe wyniósłszy się nad lud, nawet to, co on pięknie w swym ojczystym języku wyraża, musiały przynajmniéj na obcy sobie język przetłumaczyć i zamiast zostań z Bogiem, albo idź z Bogiem, à Dieu używać wolą.

Często było dawniéj słychać, że się trzeba rozmowy z ludem wystrzegać, żeby sobie mowy nie popsuć. I utrzymywano tak właśnie wtedy, kiedy język w najsroższy sposób kaleczono. Dziś zaś, kto nie zna mowy ludu wiejskiego, nigdy dobrze mówić, ani dobrze pisać nie będzie. Wyrażenia jego mogą być obmuskane, ale nie będą jędrne i świeże. Znają się na tém najlepsi pisarze i wiedzą, że w rozmowie na wsi więcéj się stylu niż z książek nabiera. To samo przyjdzie w grzecznościach i formach do obcowania: w miejsce pochlebnego i pełzgliwego wyrażenia wielmożny mości dobrodzieju a nawet panie, koniecznie *ty* albo *wy* wprowadzone być powinno, i rychléj czy późniéj wprowadzone będzie. Na tém koniec artykułu: zostańcie z Bogiem miły czytelniku.

Ułamek z dziejów serca

I.

On stał się nareszcie zbyt twardym, a ona coraz czulszą. Z początku serdecznie się kochali, i nigdy nie myśleli, by się kiedyś mogło odmienić. Było to podczas wiosny, kiedy pierwszy raz wyznali sobie wzajemną miłość, a w rok przytulała matka chłopczynę. Odtąd upłynęły cztery wiosny. Im chłopczyk wyżéj podrastał, tém bardziéj więdła miłość pomiędzy ojcem a matką; im wyraźniejszym stawał się obraz téj niegdyś niewymownéj miłości, tém ona coraz bardziéj stawała się milczącą. On żadnéj innéj nie kochał, ona też nikogo innego; a gdyby kto zagadł, kogo obierasz za żonę na świecie, nie innąby obrał, jak tę, którą posiadał, — a ona, ona właśnie cierpiała, że mąż teraz tak stał się dla niéj obojętnym i zimnym. Jakaż tego przyczyna, nie inna, jak domowy niedostatek. Ona nie miała majątku, a on zbyt drobne a przykre miał zatrudnienie. Od rana do wieczora pracował i wracał wieczorem tylko z zachmurzoném czołem. Długo starała się z podwojoną wesołością i rzewną miłością rozpędzać chmury z pięknego i wzniosłego czoła jego, długo swą duszę spokojną nastrajała na tony najwyższe, aby przykrości odpędzać, i łódź domowego szczęścia ukołysać. Ale w końcu wszystko się wyczerpało. On poznał się na podstępie i rzekł: poznałem, że i ty jesteś nieszczęśliwą! Ona podniosła chłopczyka do góry, czoło i oczy ojca, usta i broda matki, ona przytuliła go do serca ojca i rzekła: wiele rzeczy nam się nie udało, twój talent godnie w te czasy zająć się nie może, wiem co z tobą do grobu schodzi, ograniczmy się, wychowujmy naszego synka na poczciwego obywatela, a my sami żyjmy z rezygnacyą.

To jest stara piosenka, odrzekł mrukliwie, tysiące z nią dało się już pogrzebać.

Nareszcie odebrał jéj kassę, którą miała pod swoim kluczem. Nie śmiała ni słówka powiedzieć, nie przypuszczała żadnego podejrzenia. Razu pewnego prosiła go o pieniądze na kapelusz słomkowy, tu chmura zawrzała: a przecie kupiłem ci przed kilku miesiącami kapelusz.

— Kapelusz ten był zimowy, latem go nosić nie mogę.

— A dla czego nie? chyba że chcesz rolę odgrywać wielkiéj pani.

Tu zapłakała nieboga i rzekła: wiedziałeś dawno, że nie mam majątku i pieniędzy, a jeżeli się porządnie ubieram, to więcéj dla ciebie, aniżeli dla mnie.

Ona łkała, on się gniewał, że mógł takie głupstwo powiedzieć. Chciał ją pocieszyć, ale nie umiał nic mądrego wykrztusić. Od tego czasu wszystko o czém rozmawiali, było muzyką na rozstrojonym fortepianie; tony, akordy były fałszywe, chociaż palce po prawdziwych przebiegały klawiszach.

Po téj stoczystości już się nie było można zatrzymać, z niepowstrzymanym pędem wszystko leciało w przepaść. On kłócił się, ona bladła. On wchodził w najmniejsze drobiazgi życia domowego i gospodarstwa, ona stawała się popędliwszą. Płakała często w skrytości, i to go gniewało. Kryła się ze swemi łzami, jako z tajemnym skarbem, ale to była trucizna, która niszczyła jéj życie. On z świeżego, silnego młodzieńca stał się zachmurzonym starcem, a z kwitnącéj kobiety zrobiła się postać pochylona.

Piąta nareszcie nadeszła wiosna; jednego poranku siedział przy fortepianie, zajęty komponowaniem piosenki, w tém wchodzi nagle żona, śmielsza niż dawniéj, z wyrazem natchnienia na twarzy, jakby miała ogłosić wielkiéj wagi odkrycie. On wstał nagle, rozgniewany tą przerwą niespodziewaną, ale i ciekawy, zkąd ta śmiałość żony pochodzi. Ona pochwyciła go za obiedwie ręce, patrzyła przez chwilę w twarz jego, i rzekła nakoniec: mój kochany, dłużéj żyć z sobą nie możemy! Nasze połączenie nastąpiło w skutek skłonności serc naszych. Twoje serce milczy już oddawna, a o mojém zamilczam. Przed niedawnym czasem nie myślałam, abym była osobą dla siebie, abym miała prawa, które przez nasze pożycie zostały sponiewierane. Ja trzymam się teraz praw moich. Pozwól opuścić ciebie! Mam zamiar zejść ci z oczu, by tobie się nie narażać, i wolne zostawić ci pole do działania, ja popłynę do Ameryki. Tysiące osób co rok tam płynie, szukając uspokojenia swego, którego w Europie znaleść nie mogą. W ostatnim czasie pełno wychodźców się krząta, cywilizacya Europy im nie wystarcza, jest ona dla nich jarzmem, wzdychają za innemi zwyczajami i obyczajami, a którym nawet prawa własności obmierzły; utrzymują, że mają czystsze i wyższe pojęcia o mojém i twojém, i łączą się do wspólnego planu w pracy i posiadłości. Chcą oni założyć nowy świat w nowym świecie, zasadzający się na wspólnéj pracy i wspólnych zobowiązaniach wszystkich pracowników względem siebie. Z tymi i ja się łączę. Znajduje się między niemi wiele kobiet, którym brak ukształcenia do wychowania dzieci dostatecznego, a wielu mężczyzn z téj drużyny są po większéj części uczeni dla siebie, niestósowni do nauczania drugich. W całym pośpiechu nazbierali w ostatnich latach mnóstwo wiadomości, które mieszczą się w ich głowach pomieszane. Nie obawiam się pracy wspólnéj w ogrodach i polu, uważam ją jako pojednanie się z naturą, od któréj coraz więcéj się oddalałam w naszych ostatnich stosunkach. Mojém przeto rzemiosłem, z którém wstąpię do współki, jest udzielanie nauki. Znasz dobrze naszego sąsiada zegarmistrza, który się niedawno ożenił, do niegom się udała po radę, jego żona jest sobie poczciwą i samodzielną kobietą, a pójdzie za mężem z miłości choć na koniec świata. Nie chcąc ciebie skompromitować, mówiąc naszym klasycznym językiem, nie powiedziałam nikomu o moim zamiarze. Jeżeli chcesz pomówić z zegarmistrzem, jeżeli braterską przychylność i opiekę przelejesz na niego, natenczas uczynisz zadosyć mojemu najgorętszemu życzeniu, ostatniemu, z którém się do ciebie udaję. Po trzech tygodniach udaje się nasza mała rodzina do Hawru. Tu łatwo postaram się o moją toaletę, tu ustaje różnica między kapeluszem letnim a zimowym, czegoś tak szczerze pragnął.

Trudno opisać wrażenie, jakie się odmalowało na jego twarzy. Jakby mu przed nosem spadło urwisko skały na ziemię, tak był zdziwiony; nie tak z powodu zagrożonego własnego życia, jak samego pojawu meteoru. Lecz i ona nie zdawała się czekać na jego nagłą odpowiedź, odwróciła się i stanęła przy oknie. Patrzyła martwo przed siebie, i pewnie nie jednę łzę powstrzymała powieką. On jak stał tyłem do fortepianu, tak po nim przebiegał mimowolnie miękim akordem. W téj chwili drzwi się otworzyły, i wbiegł młody chłopczyna. Pobiegł do matki, któréj nie widział przy śniadaniu, do ojca nie wolno mu było już oddawna się zbliżać bez pozwolenia. Teraz matka nabrała odwagi, wzięła chłopczyka za rękę, i poprowadziła do męża.

— Ty mi tego chłopca nie zatrzymasz zapewne? On ze mną opuści Europę, by ciebie nie trudzić i kłopotać. Mnie ułatwi on wstęp do towarzystwa, gdzie ciekawość wielka obudzona jest na dzieci i owoce wypływające z naturalnego ich wychowania. Ty masz zamiar puścić się w podróż jak powiadasz, chcesz podróżować po świecie, aby się wydoskonalić w pożyciu z mistrzami. Kilka razyś to powtórzył, że się o siebie nie obawiasz, że świat przebędziesz, dając godziny prywatne uczniom po wielkich miastach. Poznałeś wiek ośmnasty, oczarowany nim, powtarzałeś mi często, jak łatwo i dogodnie mężczyzni utalentowani pędzą życie. Pozbędziesz się przykréj ci żony, pozostaw jéj chłopca, będziesz zupełnie wolny na

świecie. Ja z mojéj strony przyrzekam ci go tak wychować, że nigdy się z powodu niego nie zarumienisz. Wolnym i swobodnym, jak teraz jest dziecięciem, zabieży ci drogę młodzieńcem, jeżeli przepłynie ocean i wróci do ciebie, lub ty przesycony użyciem i sławą, puścisz się w późniejszych latach z Europy do Ameryki i nas odwiedzisz. Przyrzekam ci też, że natychmiast się dowiesz o mojéj śmierci, gdyby mnie zaskoczyła w Ameryce, a wtenczas możesz o synu twoim radzić według własnéj woli. Aż do onéj chwili pozostaw go przy mnie, pozostaw przy matce, do któréj dotąd należał, wychowam z niego pobożne dziecię natury, które nauczy się siać i sadzić, ryby łowić i polować, drzewa ścinać i obrabiać, budynki budować i z zadowoleniem je zamieszkiwać; wybaw go od boleści sztucznego wychowania, które takie spustoszenie pozostawiło na twojém czole szlachetném, które codzień ci serce ściska i pozwala ci w téj chwili ofiarę uczynić, za którą zyskasz zapewne tysiące innych wyższych i milszych twojemu sercu.

Ona milczała, tak samo i on milczał. Chłopczyk stał między nimi jak w kościele, dokąd go często prowadzano, i gdzie podczas kazania trzeba się cicho było zachowywać. Raz patrzał na każącą matkę, drugi raz na ojca słuchającego, a kiedy postrzegł, że chodzi o podróż, rozumiał, że pójdzie na spacer, obrócił się przeto do matki: mamo, rzekł, ty mnie ze sobą zabierzesz, a papka mi pozwoli iść z tobą.

Wybiła godzina ósma tymczasem, on porwał za kapelusz i wybiegł na miasto. Oddawna już się przyzwyczaiła czekać na odpowiedź aż do wieczora, a czasem i do drugiego rana, przeto nie zdziwiła się, i podała mu rękę na pożegnanie, którą on nie tak mechanicznie pochwycił jak dawniéj, lecz z drzeniem, i rzekł: dziwną jesteś kobietą.

Wieczorem późno wrócił do domu. Ona była w swoim pokoiku i rozbierała się z sukien. On poszedł do swojego pokoju i siadł do fortepianu, a kilka razy przebiegłszy po klawiszach, uderzył hymn z pustelnika we Formentera:

„Idźcie, idźcie w pokoju!
A Bóg niech was prowadzi....“

Kiedy hymn skończył, podniósł wieko fortepianu do góry i silniéj i poważniéj zagrał powtórnie ten hymn wzniosły. Brzmienie rozległo po całym domu, głęboka cisza zdawała się wczerpywać w siebie tony brzmiące. A kiedy ostatni akord zagasł, nie mogło być ciszéj w grobie. Wstał, — a ona rzuciła mu się w objęcia. Dziękuję ci — zawołała drżącym głosem, — dziękuję ci z głębi serca mojego. Dziękuję ci, jak za pierwsze wyznanie twojéj miłości, które mnie przez tyle lat ubłgosławiało. Teraz mnie uwolnisz, dasz mi twoje błogosławieństwo i chłopcu naszemu. Pójdziemy sobie w pokoju! Dziękuję ci za siebie i za niego.

Nie widział on jéj nigdy tak uroczéj jak w téj chwili. Zapomniał, że tak piękną była. Miała na głowie czepeczek biały, koronką oszyty, pełne jéj włosy brunatne, miła twarz zdłużna, niczém nie zaciemniona występowała tém wydatniéj i uroczéj, im silniéj wewnętrzne uczucie promieniło się przez głębokie ciemne oczy, i igrało koło ust drobnych.

O mój aniele! zawołał on, a słowo anioł nie było przenośnią, dla czegoż nie możemy pozostać razem szczęśliwymi, dla czegoż sen naszéj młodości nie ma się spełnić? a trzymając skórczoną pięść nad klawiszami fortepianu, zapytał: mamże rozbić ten instrument? Powiedz słowo, a nigdy nie dotknę się jego klawiszów; czart ten nas rozdzielał zawsze — jedno uderzenie, a ja będę wolnym.

Jesteś nierozsądnym, rzekła, wam mężczyznom zawsze czegość niedostaje. Lubisz muzykę, równie jak mnie niegdyś, ja się zestarzeję, a druga twoja kochanka zawsze młodą pozostanie. Nie zabijaj jéj, lecz zachowaj i kochaj ją! Przyrzekłam pożegnać się z tobą w pokoju, pożegnamy się przeto w jak najlepszém porozumieniu się. Ameryka od nas nie jest daleką.

— Ależ między obcymi, cudzoziemcami, potrzeba opieki zbyt jest niebezpieczną, wdzięczność jest podstępnym zdrajcą. Tyś jest bardzo romantyczną... i pochwycił ją silnie w ramiona.

Ona się rozśmiała. Chcąc twoje usunąć wątpliwości, potrzeba mi być od ciebie na tysiąc mil oddaloną. Teraz nie mogę ci odpowiedzieć. Uspokój się, nigdy nie byłam zalotną.

Przez drzwi otwarte usłyszano wołającego chłopca na matkę, który się niecierpliwił za jéj powrotem, ona z lekka wydarła się jemu z objęcia i zniknęła.

II.

Zegarmistrz, który miał przewodniczyć całemu wychodztwu, był wiotki, młody mężczyzna, gorliwy wyznawca zasad wspólności, które miały kierować towarzystwem. Przejrzał bardzo wiele książek w téj mierze i wyczytał z nich dosyć wesołego fanatyzmu; surowość i poczciwość jego brania się względem drugich osłaniała go pewną powagą moralności w oczach wszystkich, którzy właśnie odwrócili się tyłem do wszystkich powag istnących. Od czasu, jak nasza przyjaciółka oświadczyła gotowość swoją do podróży do Ameryki, codzień przychodził do niéj do domu, naradzał się względem podróży, i stał się wkrótce po-

wiernikiem chłopczyka, który mało dbał o własnego ojca. Zegarmistrz wcale nie dziwił się temu, że młoda żona opuszcza swojego męża, by w wolnéj Ameryce wstąpić do życia wspólności! Być może, że to się nie zgadzało ze zasadami jéj męża, może nie ufał sobie tyle, ile potrzeba, aby opuścić dawną ziemię i puścić się w dalekie strony, tak sobie myślał zegarmistrz. A gdy całe miasto ganiło słusznie żonę i surowy wyrok wydawało na awanturnicę, zegarmistrz widział w jéj postanowieniu rzecz bardzo naturalną, czego już dożył po kilkakroć w klassie zawodu swego. To właśnie zaimponowało naszemu przyjacielowi: on sądził, że w romantyczném zapatrywaniu się na rzeczy nadzwyczajne, w pogardzaniu zwyczajnego życia nikt mu nie sprosta, a tu na raz obaczył człowieka, który uważał nadzwyczajność za zbyt zwyczajną rzecz, iż z instynktu patrzał na świat temi oczyma, co on po długiéj pracy i znoju. Widział się zwyciężonym, przewyższonym na prostéj drodze, i to czyniło go zazdrosnym. Żona jego zaprzyjaźniła się bez żadnych względów na świat z prostym rzemieślnikiem, a ten z nadzwyczajną śmiałością rozwiązywał swoim rodzajem najtrudniejsze pytania ludzkości, który rozrządzał chłopcem, nie będąc jego ojcem, a chociaż miał żonę, i z nią żył jak najlepiéj, uważał ją przecie za środek do dopięcia społecznych planów, z zimnotą prawodawcy rozprawiał o połączeniu się męża z żoną, a jego serce nie miało dosyć czasu do zmagnetyzowania się gwałtowném jakiém uczuciem. Zaprawdę znalazł on w naszéj przyjaciółce Egerię, która go napełniała natchnieniami prawodawcy, ale na wielkim oceanie jest dosyć czasu i przestrzeni do rozmaitych uczuć, a w całéj kolonii nie mogło być dwóch ludzi silniéj powiązanych potrzebami, jak Numa i jego nymfa. Zazdrość naszego przyjaciela poszła tą drogą myśli, by się uwikłać w ów kłębek uczuć, które niesłusznie i wyłącznie nazywamy zazdrością. On przemyśliwał, szukał, przerzucał myślami na wszystkie strony, aż wpadł na pewien rodzaj planu. Usłyszymy na jaki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dwie książki

„które stary Wojciech kupił na jarmarku w miasteczku do czytania na niedzielne popołudnia, przez autórkę „O poczciwym Janku i dobréj Marysi.“ — (Książka pierwsza.) — Poznań, 1846. U Kamieńskiego i Spółki. Cena 1 Złt. 18 gr.

List do Autórki.

Cieszę się serdecznie, ilekroć przy wzmagającéj się dziś potrzebie książek dla ludu, a braku wielkim dobrych w tym rodzaju pism, zdarzy mi się spotkać z dziełem, które nie truciznę, lecz zdrowy pokarm czytelnikom swym poda: ucieszyłem się tedy nie mało dostawszy do rąk Waszą zapowiedzianą książkę, wiedząc z góry, że będzie taką, jakiebym zawsze widzieć pragnął. Po przeczytaniu zwiększyła się jeszcze radość moja, nietylko bowiem nie zobaczyłem się zawiedzionym w przekonaniu mójém, lecz jeszcze znalazłem dziełko Wasze tak daleko wyższém, lepszém od wszystkiego, com w podobnym celu wydanego czytał, że nie mogę przenieść na sobie, abym Wam za nie imieniem swojém i wszystkich ludu oświaty jego przyjacioł nie podziękował, a zarazem się z Wami kilku uwagami nad pracą Waszą mi nadbiegłemi nie podzielił.

Jak najwłaściwiéj postąpiliście sobie, obrawszy kształt powieściowy, nie systematycznéj nauki w piśmie dla ludu; jest to jedyna forma pismom takowym przydatna, i wypływająca z saméj ludu naszego przyrody. Lud nasz bowiem, jako sam żyje prawdą a nie fałszem, tak też nie przyjmie do serca żadnéj nauki, jeśli nie ma rękojmi jéj szczerości w żywym przykładzie. Najlepszym ztąd środkiem oświecenia ludu jest życiem własném dawać mu przykład cnoty i poświęcenia; powieść zaś w odpowiednim potrzebie utworzona duchu, jak byłaby wyborném żywego przykładu dopełnieniem, tak w braku jego, (chociaż niezmiernie słabo) zastępuje jego dobroczynny wpływ. Czytelnik bowiem, w dobrze napisanéj powieści, widzi niejako naocznie wprowadzone zdarzenie; i mimo woli przejmuje się prawdą zdań, świętością uczuć, pięknością przedstawionych czynów. Dowodem wielkiego ich wpływu jest wrażenie, jakie czynią powieści czytane w młodym, niezepsutym wieku prawie na każdym, częstokroć nadając nawet kierunek całemu dalszemu zawodowi człowieka; lud więc nasz dotąd zachował swą młodzieńczą żywość i czystość.

Powieści Wasze tę już mają wyższość nad innemi, że gdy tam te starały się tylko uczynić chłopa pracowitym, dbałym, pokornym i poczciwym w jego szczupłym zakresie, Wy chcecie go podnieść wyżéj, dajecie mu przykłady wielkości — jak w powieści z Bürgera przerobionéj: Ja nie mam szczęścia za pieniądze, — uczycie go cenić stan swój i strój narodowy, jak w powieści o Grzeli Stępczaku. — Ostatnią tę naukę w wielce przydatnéj podaliście porze, gdy bowiem język i wiara rodzinna większą powszechnie otoczone czcią, nie tyle jeszcze cierpią od wymierzonych na nie ciosów, ubiór gminu starodowny coraz bardziéj na obcy się przeistacza, coraz bardziéj niknie. Szlachta pierwsza dała gorszący przykład, zrzucając odwieczny swój strój, nie przeto, aby po-

zbywszy się w nim kastowéj cechy, przywdziać ogólne ludu szaty, ale przez niedowarzone cywilizacyi pojęcie na cudzoziemskie go mieniąc odzienie. Zły przykład ten i przewrotne jego pojęcie wydają dziś i na włościanach zgubny skutek, — zwłaszcza, że znajdują się jeszcze na pozór wykształceni, ograniczeni w rzeczy ludzie, namawiający a nawet znaglający domowniki swoje do zamienienia sukmany na surdut, baraniéj czapki z piórami na miejską furażerkę, — niewieściéj chustki na około głowy, na czepiec. A przecież ubiór, obyczaje i język, są to silnie z sobą zrosłe, najwyraźniejsze narodowości cechy i tarcze; jak to wybornie znajduję wyrażone w nowéj książce, którą czytać się zabieram właśnie*):

Ubioru od obcych nie przyjmujmy, gdyż w tym co my, chodzili nasi dziadowie i ojcowie, i my pragniemy, aby nas i z ubioru poznano, żeśmy ich wnukami i synami. Ubiór rodzinny, narodowy, jest według mego zdania pierwszym dowodem miłości do swego kraju i do swego rodzinnego domu. Kto go z siebie złoży i na inny zamieni, ten w swém sercu zerwał pierwsze ogniwo, łączące go z narodem i rodziną, bo ten swéj duszy nadał inny kierunek od tego, jaki mu naród i rodzina nadała. Taki pewno osłabł w religii ojców, stracił miłość do zwyczajów i obyczajów; słowem stracił smak do narodowości. Życie bowiem jest całością, jednym łańcuchem objawów i wyrobów ducha, oświeconego światłem Bożém; gdy się jedno kółko z niego wyjmie, już po łańcuchu....."

W Bogu nadzieja, że słowa Wasze potrafią powstrzymać zgorszenie, o którém mówimy u ludu, — że za wpływem autora przytoczonego dzieła, znajdą się gorliwi kapłani, co radą swą odwodzić będą nieświadomych od maszkarady. Oby także przekonać się dały polerowniejsze społeczeństwa, że strój ludu, będący jedynie narodowym strojem dzisiaj, zastósowany do wieku i zatrudnień, stokroćby więcéj zdobił, niż coraz zmienne, modne, cudzoziemskie stroje, że byłby wymownym znakiem braterskich dla gminu uczuć i jednolitości wszystkich ziomków. Przykład Kościuszki nie wartże naśladowania? — Lecz niestety! lekkomyślność i nieuszanowanie narodowości, (słowa wyżéj powołanego autora) owczy nałóg wreszcie, tak się wkorzeniły w tych na pozór wykształconych towarzystwach, że dziś niepodobna im widzieć ani rozumieć zagadnień żywotnych bytu; a choć kto z nich i zrozumie więcéj nad drugich, to bojaźń wyśmiania, brak przedsięwzięcia, obojętność wreszcie zgubna wzbraniają nam uczynić tego, co za słuszne uzna. — Wszakże ja sam czytałem wiersz: Ostatni Kontusz, temi kończący się słowy:

„O gdy ten kontusz ma iść w zatratę,
Do sukni gminu się zwrócę;
Przynajmniéj polską przywdzieję szatę,
A staréj cnoty nie zrzucę."

a przecież wiemy, że autor niniejszego wiersza nigdy nie pomyślał zrobić jak mówi, że jest gorliwym mody wyznawcą, a dom jego cudzoziemskich zwyczai i języka siedliskiem. —

Czém wszakże nad wszystkie znane mi podobnego rodzaju powieści celują Wasze, to głębokiém w rzeczy wniknięciem, obszerném rozłożeniem, a nawet artystyczném obrobieniem. Już w pierwszéj części Waszego dziełka, w powieściach prawdziwych widać te przymioty: jest tam kilka wybornych powieściowych ustępów, zwłaszcza w Chłopie i Żydzie, a cała powiastka Biada, biada pijanicy! odznacza się nietylko moralnością wymowną, lecz także skończoną całością swoją — tak doskonałém w duchu ludu opowiadaniem, jakby z utworu jego i ust wybiegła, i nietylko w użytkowém piśmie, również w dziele sztuki właściwéj z przyjemnością czytaćby się dała.

Druga część książki Waszéj: Powieści od kądzieli, jest zda mi się pierwszą próbą pisania dla ludu w duchu jego podań i baśni, — objaśniania mu tychże moralnego. Ztąd to najwięcéj uradowało mnie dziełko Wasze; daje mi bowiem nadzieję, że po pierwszéj próbie więcéj pism takich da się widzieć, że pożądany ten rodzaj rozwijać się i kształcić zacznie. Jaka jest niezmierna wyższość powieści na gminnéj wierze osnutéj, utrzymującéj związek między codzienną nauką i tradycyą żywą, przechowującą się u ognisk wiejskich, zastósowanéj do moralności, od owych złych Franusiów i dobrych Kostusiów i t. p. jedynie dla morału sklejonych — każdy to, ktokolwiek zastanowi się nad modłą kształcenia duszy, uzna. I nietylko wewnętrzny powieści takowych duch, sama koniecznie w nich zewnętrzna budowa artystyczna, prócz skótkow innych pisma, kształcić musi smak i uczucie piękności prostych czytelników.

Próbie Waszéj przyznać trzeba, że nietylko pierwszą, lecz także jest szczęśliwą. W powieści o Sierocie wystawując jako żywe i czynne istoty i strumyk, i krzaczek róży, trafiliście celnie w myśl naszycl

*) Ksiądz *Józef Bogobojski* przez Felixa Kozłowskiego. Nie wiem czy już wam znane to dzieło i dla tego wypisuję ten ustęp, który autor (pewno dla większego wpływu) włożył w usta oświeconego Niemca. — Ja dopiero będę czytać tę książkę — ten ustęp wpadł mi przypadkiem w oczy i do czytania zachęca.

staro-słowiańskich podań, rozlewających życie wszędy, życie w całéj widzących przyrodzie. — Przerabiając legendę o Ś. Krysztoforze, na baśń o Wyrwidębie, prócz treści i szczegółów zdarzenia, tak dobrze rzecz całą nawiedliście barwą domową, że nieznając wspomnionéj legendy w źródle, niktby się pochodzenia Waszéj nie domyślił. W powieści trzeciéj, którąście snać zeprzędli z dwojga baśni, o dziewczynie co ojca swego porzuciła, i o drugiéj, co wyszła za mąż za djabła, — uderzyły mnie te słowa, niezgodne z duchem całéj popowieści, bo już trącące książkowym stylem:

„I ojciec uścisnął jeszcze raz córkę, a spadły z niéj wszystkie suknie i wszystkie bławaty, i wszystkie przemieniły się w chmury trosków, żalów i kłopotów, a były to te troski, które wycierpiał ojciec dla swojéj jedynaczki.

Strzeżcież się na raz drugi tak niestósownych w bajce gminnéj wyrażeń.

Czwarta powieść Wasza, jak osnuta na podaniu, tak też do końca stósownie doprowadzona.

Już tyle musiałem pochwalić w dziełku Waszém, że aby nie chwalić znowu pominę milczeniem rozmowy objaśniające powieści od kądzieli. — Nad jedną tylko zatrzymam się myślą. Tłómacząc znaczenie djabła w powieściach, powiadacie, że djabły niechodzą po świecie, ale złe myśli, które człowiek wystawia sobie w postaci djabłów. Ten wykład mi się niepodoba — nie żebym się ujmował za utrzymaniem zabobonów szkodliwych, żebym chciał utrzymać wiarę w djabła, o kurzych pazurach i koźlich rogach. Ale gdybyście powiedzieli, że djabeł wprawdzie nie biega widzialny po świecie, przecież niewidomie pilnując człowieka szepce mu złe myśli, aby duszę jego zgubić, byłby to wykład lepszy dla Ludu, niż abstrakcyjne złe myśli i żądze. Lud nasz nie zna abstrakcyi i abstrakcye niezdołają nań wpłynąć. On wierzy, że w każdéj chwili Bóg tchnie mu w serce święte i dobre uczucia, a szatan go podżega złémi chęciami do grzechu, którego przeto tém srożéj się lęka i stroni. Wiara ta jest tak czysta, błoga i prawdziwa, że niegodzi się jéj naruszać. Nie posądzam Was też o podobny zamiar, tylko chciałem zwrócić na rzecz tę uwagę Waszą na raz inny.

Na książce Waszéj stoi napis: Książka pierwsza — będzie więc i druga. Rychło li ją ujrzemy? Nie wątpię, że dołożycie starania, aby co najrychléj ją wydać, boć pojmujecie pewnie, że cicha i nie szukająca chwały praca Wasza więcéj warta niż ulepienie nowego systematu filozofii, którego naród nie potrzebuje ani zrozumieć, niż nie jedna mądra rozprawa, co narobiwszy chałasu, przejdzie bez skutku. Bo musicie czuć, że światło, które macie, Bóg Wam dał nie na to, aby niém świecić w szczupłém kole, ale aby je roznieść po chatach i lepiankach, rozświecić to co w nich piękne i dobre, a zapomniane, — zniszczyć co złe.

*R****

ROZMAITOŚCI.

— Wielu narzeka, że nie ma dosyć na świecie srebra i złota, tym donosimy, że inżynier francuzki odkrył w piasku pewnéj rzeki na międzymorzu Panama mnóstwo złota i wniósł ztąd, że woda przepływać musi przez niezmierne massy złota, znajdujące się w skałach. Zaprojektował kapitalistom, aby na akcye przedsięwzięli wykopanie tych skarbów i znalazło się kilku, którzy to złoto tanim sposobem chcą nabyć.

— Ubiór i piękność kobiet w Kaszemirze. — G. T. Vigne opisuje w swoich Travels in Kaschmir, kobiety Kaszemiru jako nadzwyczaj piękne; — one są tak piękne, powiada, iż możnaby z assyryjskimi żołnierzami zawołać, kiedy ujrzeli piękną Judytę: któżby takim ludem pogardzał, co ma takie kobiety? Ubiór tych kobiet składa się z czerwonéj opończy z szerokiemi rękawami i czerwoną przepaską przez czoło, z pod któréj biała spływa mantylla. Włosy układają w warkocze, i u nich zawieszają u dołu kutasy z czarnéj bawełny, sięgające prawie do kostek u nogi. Kobiety indostańskie noszą chustkę około bioder we fałdy ułożoną. Tak zwana Pudah, jest zasłoną twarzy tylko wyższym stanom właściwą. A chociaż bardzo chwalą piękność mieszkanek Kaszemiru, sądzę, że jéj nie przechwalają. Czasem nieodznacza ich tameczna wiotkość wspólna kobietom indostańskim, jednak i ta kibić czyniłaby wrażenie na salonach europejskich. Płeć ich podobna do naszych brunetek, z czerwieńszym rumieńcem na licach, kobiety zaś indostańskie mają cokolwiek za wiele czerwonego i białego w swych twarzach, i z tego względu podobne są do armianek i turczynek z Jarkund. Ich oczy są wielkie, brunatne, w krój migdała, ich zęby białe i regularne. Zbywa im na uroku i gracyi, jaką nadaje cywilizacya i talenta, ale dla mężczyzn nie mających do tego żadnych uroszczeń, nie znam piękniejszych kobiet nad kaszemirskie. Łagodny, naturalny połysk ich oczu, wydatniejszym się staje przez długie czarne rzęsy. O szalach kaszemirowych także rozwodzi się autor. Ma—

teriał do nich wprzód przędą i farbują w Tybecie z wełny koziéj, tak zwanéj Poshm, zazwyczaj liczba kolorów dochodzi do czterdziestu. Wełna na dwa szale bardzo wielkie nie waży więcéj nad 15 funtów i kosztuje 120 do 150 małych rupiów — blisko 70 talarów. Po ufarbowaniu wełny, przeciągają ją przez wodę ryżową, dla nadania jéj większéj siły. Miękość przywraca się dawna przez pranie powtórne. Wzory wszywają i wrabiają. Szale przeszywane wzorami są daleko tańsze, aniżeli wrabiane. Do roboty dwóch szali, potrzeba dwóch tkaczych warsztatów, u każdego siedzi dwóch mężczyzn i pracuje przez sześć miesięcy nad ukończeniem jednego szala. Stolica Kaszemir zwana także Sirinagur, ma blisko 600 warsztatów.

— W Londynie znajdują wszystkie talenta dla siebie obszerne zatrudnienie. Znajduje się tam znany w świecie handlowym człowiek, który ma wzrok wyborny do rozpoznawania gatunków i koloru indigo; przez cały rok wydaje tylko swe wyroki o kolorze téj farby, a tak są pewne, że nikogo nie zawodzi; zarabia sobie przez ten wzrok znawczy 10,000 tal. na rok. Drugi sławny jest ze swego języka, którym próbuje wina nadchodzące z całego świata, roczne to próbowanie przynosi mu 34,000 tal., co się równa pensyi pierwszego ministra w Anglii.

MODY.

Paryż, dnia 3. Sierpnia 1846.

Nie można zaprzeczyć, że mody teraźniejsze bardzo wiele wymagają, lubo łokieć tkaniny nie raz kosztuje tylko pół złotego polskiego. Ale za to noszą kosztowne koronki, szale kaszemirowe, suknie aksamitne i złotem przerabiane. Nasze matki i babki stroiły się także w bogate jedwabne tkaniny, ozdobione brokatem i koronkami, ale owe koronki i brokaty daleko trwalszemi były aniżeli teraz. Wątpią, aby która dama nosiła dłużéj suknię jedwabną, jak przez jedno lato.

Zbytek teraźniejszych mód więcéj pochodzi z rozmaitości, aniżeli kosztowności. Chcąc być prawdziwie elegancką damą, potrzeba mieć smak dobry i wolę nieugiętą wytrwałości, trzeba co chwilę myśleć, by się utrzymać na poziomie równym z modą. Gdyż moda jest w wielu rzeczach, ubiorach, w postawie, w meblach, mieszkaniu, w życiu, w siadaniu do pojazdu i siedzeniu w pojeździe, widzimy tu n. p. jednego lwa, który w pojeździe ciągle i od dawna odbywa tryumfalne przejazdy, w formach rozrzuconego ciała, co nie jest wcale modném.

Ale wracamy do toalety! Najulubieńszemi sukniami są lekkie. Kolory naturalne, a mianowicie nankinowe fulardy są bardzo modne. Widzimy z nich proste suknie, trzema tylko zakładami ozdobione, nad którem znajduje się jedna lub kilka bortów. Niektóre z nich mają też falbany z maleńką otwartą niebieską lub zieloną fręzlą. Potém idą drukowane organtyny i tarlatany, z których najwięcéj się podobają w ciemnych kolorach z białemi wzorami. Na negliże najlepsze są szlafroczki otwarte z drukowanego muślinu, a mianowicie pokapane różowemi, niebieskiemi lub żółtemi punkcikami na tle białém. Bardzo modnemi są daléj otwarte szlafroczki z haftowanego muślinu, ale do nich nie trzeba nosić mantylli z haftowanego muślinu, tylko muślinowe mantylle z garniturem koronkowym lub mantyllę z białéj kitajki z wyciętemi falbanami.

W ogólności bardzo się podoba haftowany muślin, biorą go na wszystko, na piękne peleryny, na chusteczki, na ranne czepeczki, które są bez żadnych ozdób, prócz maleńkich zębów.

Widzimy téż wiele nankinowych i pikowych sukien, ozdobionych guziczkami, białemi bortami, lub lekkim haftem z bort sutaszowych. Staniki z tyłu są w caraco, nigdy zaś z przodu upstrzone.

Z bareżu robią suknie na wielki negliż, a w jego miejsce częściéj biorą muśliny jedwabne i organtyny. Staniki u tych sukien są we fałdy, w kształt bluzy ułożone w dwa przęsła, z trzema lub pięcioma falbanami równéj wielkości. Przepaski są z wstążki o długich końcach, w kolorze sukni.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz słomkowy, zdobny liściem i krepą podszyty. Szlafroczek jedwabny z otwartym stanikiem i krótkiemi rękawami.
2. Kapelusz krepowy z jedném piórem. Suknia jedwabna falbaną ozdobiona. Szal kaszemirowy, haftowany jedwabiem i orzucony fręzlą.
2. Kapelusz słomkowy. Frak o krótkich połach. Długa kamizelka. Pantalony bez strzemion.

Redaktor *N. Kamieński*. Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki*.